

Imitacja trzęsienia ziemi – o języku nowego Sejmu

Sejm Rzeczypospolitej Polskiej

Fot. I. Kpalion,
CC BY-SA 3.0,

<https://commons.wikimedia.org/w/index.php?curid=2247495>



„Polaryzacja” – oto słowo-klucz, którym z lubością posługują się wszyscy najważniejsi aktorzy polskiego życia publicznego. Zarówno politycy, jak i dziennikarze, ci, którzy stają przed sejmową mównicą, jak i ci, którzy infekują kolektywną świadomość kanałami facebookowo-twitterowymi, posiłkują się nim, niczym magicznym zaklęciem za jednym zamachem tłumaczącym wszelkie komplikacje rządzące (poza- i wewnątrz-)parlamentarnym dyskursem.

Ideologiczna polaryzacja partii oraz klasowa i światopoglądowa polaryzacja wyborców stanowią uniwersalny argument, równocześnie przyjmujący dla jednej strony sporu postać uzasadnienia tezy „za”, a drugiej stronie jawiący się jako podwalina osądu przeciwnego.

Ostatnimi czasy retorycznie gibka koncepcja Polski rozszczerzonej funkcjonuje jako paliwo dla kulturowego znaczenia obrad Sejmu X kadencji. Ożywione werbalne starcia posłów personifikujących nowe parlamentarne rozdanie są dziś krajowym tematem numer jeden, kwestią, która od wielu dni nie schodzi z ust większości Polaków. Głośne (zarówno pod względem merytoryki, jak i decybeli) poselskie konflikty spotykają się z masowym poklaskiem, ponieważ przez widowiskową antagonizację umacniają rozbieżne przekonania. Sprawiają intensywne, światopoglądową przyjemność, tj. cementują słuszność niepewnych racji, a także zapewniają o niesłuszności racji wykluwającej się z ideowych wysiłków obozów przeciwnych.

Jednakże rzeczona przyjemność na pewno nie jest stuprocentowo naturalną emocją. Jest bowiem używana przez medialną symulację sporu, wirtualną dysharmonię, która tak naprawdę dba o bezpieczne *status quo* realnej temperatury polemiki. Nieprzyjazny język, którym posługują się nowo wybrani posłowie, wcale nie ewokuje transgresyjnego chaosu. Wręcz przeciwnie – wydaje się on ekscytującą, polifoniczną konwencją maskującą miłą monofonię interesów osób zasiadających w ławach na Wiejskiej.

Publiczne, mniej lub bardziej spektakularne utarczki sejmowe działają według zasad wewnętrznej ekonomii libidinalnej. Słowa padające z ust rodzimych polityków napędzają proces symbolicznej wymiany pragnień. Zaspokajają rozbudzone apetyty oglądających i oglądanych metodą wielopoziomowego barteru słownego. Posłowie wypowiadają zdania iście symbiotyczne. Mówią to, co chcą usłyszeć ich oponenti, po to, by ich oponenti mówili to, co chcą usłyszeć oni.

Wykrzyknikowe „Puknij się w głowę!”, zaskakująco rubaszne słowa o „fujarach” czy chóralne odliczanie czasu do końca przedłużającego się, improwizowanego przemówienia jednego z posłów – to tylko kilka wycinków z przytłaczająco malowniczego obrazu politycznej lingwistyki stosowanej, który niedawno całkowicie zdominował społeczną wyobraźnię. Frywolność retoryki definiującej ów pokaz partyjnej szermierki, płynnie przechodzącej w absolutnie brawurową wulgarność, służy przede wszystkim zapewnieniu całemu społeczeństwu dobrostanu *ego*.

Usta wypowiadające kontrowersyjne zdania umacniają samozadowolenie mówcy oraz wspierającego go widza. Gwarantują ulepionym

z jednej gliny oglądanym i oglądającym iluzoryczne poczucie spełnienia czynu rebelianckiego. To akt przeszczepiający estetykę wypowiedzi Donalda Trumpa na polski grunt. Parafrazując Slavoję Žižka, można powiedzieć, że w obu przypadkach mamy do czynienia z nową filozofią osładzania neoliberalnej inercji. Zarówno Trumpowska, jak i polska bezceremonialność politycznego dialogu służy odwróceniu uwagi odbiorców od wiecznie odtwarzającego się na nowo impasowego rytmu parlamentarnej vegetacji. Zdania immanentnie pozbawione żywotnych znaczeń desperacko chwytają się wrzaskliwych wykrzykników, żeby zachować przynajmniej umowne kontury swoich bladych sensów.

Z kolei uszy chłonna wszystkie werbalne prowokacje karmią samozadowolenie na sposób odwrotny, aczkolwiek równie zmyślny i skuteczny. Nawiązując do analogii Trumpowskiej, można pokusić się o zestawienie reakcji amerykańskich środowisk liberalno-progresywnych na karykaturalnie skandaliczne wypowiedzi prezydenta USA z oburzeniem niektórych polskich polityków oraz dziennikarzy wywołanym skrajnie antagonistyczną kulturą słowa w rodzimym sejmie. Oba rodzaje replik, choć pozornie zdają się mieć charakter interwencji etycznych broniących jakości politycznego dyskursu, w istocie są paradoksalną celebracją trywializacji owego dyskursu.

„Zachowanie dzieci z podstawówki” czy „ring MMA” to z kolei wycinki z dopełniającej obraz syntetycznego politycznego boju narracji zgorzenia. Zgorzenia performatywnego, gdyż nie tyle dążącego ku negacji, ile do afirmacji. Znow łatwo dostrzec silne starania o usatysfakcjonowanie oglądanych i oglądających. Autorzy cierpkich, nacechowanych

moralnym, wręcz pedagogicznym tonem krytycznych komentarzy, wykorzystują lingwistyczne harce kolegów i koleżanek jako niezwykle wartościowy surowiec ideologiczny. Przetapiają go na urzeczywistnioną fantazję o wyższości ich cnoty nad cnotą przeciwników. Z wielką ochotą poruszają się po abstrakcyjnych rejonach quasi-religijnego przeświadczenia o jednej, uniwersalnej idei godności, dzięki czemu skutecznie uciekają od konieczności podjęcia kroków niebezpiecznie przyjemnych i niebezpiecznie miarodajnych.

Widzowie kibicujący przytoczonej postawie antydemoralizatorskiej wygodnie rozsiadają się w łóżach ironistów, gdzie gęstość polskiej społeczno-politycznej atmosfery jest rozrzedzana komfortowym zdystansowaniem. Przyjemność czerpana z konsumpcji skandalicznych dyskusji sejmowych oraz zbulwersowanych komentarzy na ich temat jest dla odbiorcy przyjemnością eskapistyczną. Pozwala strywalizować stawkę parlamentarnych konfrontacji, wymknąć się szorstkim konsekwencjom prawa do demokracji przez potraktowanie tychże konsekwencji manierą banalizująco-ironiczną, tzn. odwołującą się przede wszystkim do *decorum*.

Estetyka dyskusji nowego Sejmu przypomina nam wszystkim o tym, że żyjemy w epoce, która zastąpiła ideę zmiany efektywnym makaronizmem – „update”. Obecny parlamentarny porządek zapowiada nie tyle nową polityczną rzeczywistość, ile rzeczywistość **zaktualizowaną**. Taką, która podążając za myślą Elona Muska czy Marka Zuckerberga, proponuje recyklingowy futurizm, tj. przyszłość oferującą starą, dobrą terażniejszość, ale za to wyrażoną nowomodnymi komunikatami.

Łukasz Krajnik